№ 26. Warszawa, dnia 16 (28) Czerwca 1882 r. Rok XVII.—Tom XVIII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

MIŁOŚĆ WIEKÓW UBIEGŁYCH

STUDYUM Z PRZESZŁOŚCI

przez

Maryana Dubieckiego.

To jest największy rozum, możesz temu wierzyć,
Kto się umie w swych sprawach nadobnie rozmierzyć.
Mik. Rey.

Dnie drugiej połowy XVII wieku, dnie ostatniego z naszych Wazów, acz pełne smutku i nieustannej trwogi, acz dymiące się pożogą, nie zdołały jeszcze były zatracić cnót starych i obyczaju, któremi rośliśmy w przeszłości, któremi staliśmy i rozwielmożniali się za Jagiellonów. Spuścizna umysłowa i społeczna, pozostała po Jagiellonach, znać była wielką, gdy się nią żywił jeszcze i wiek późniejszy. Poczucie obowiązku było wielkie; nie zapominano nigdy i nigdzie, że jednostka cząstką jest całości; że w życiu prywatnem i publicznem, chwilowe bodaj zabaczenie o tej obszernej całości, naraża ją na straty. Tradycya wśród stanu górującego i rządzącego w kraju, była jeszcze żywą, mówiła mu wciąż o obowiązkach, ciągnęła ku wyżynom, zachęcała wzorami dziejów minionych i przykładami naocznemi, by zdążał ku ideałom. Niezawsze doścignano do wyżyn, niezawsze sprostać umiano ideałom; niemniej jednak wzory, przykłady, tradycya, wołająca zpoza grobów ubiegłych wieków, prowadziły ku owym wyżynom, przypominały obowiązki względem społeczeństwa.

....Zamorska, duńska potrzeba, którą podejmowano pod Czarnieckim w latach 1658 i 1659, niemało przyniosła naszemu rycerstwu nowych wrażeń. Potrzeby wojenne rzadko przenoszone u nas bywały tak daleko, jak owa duńska. Zetknięcie się z nowym obyczajem, z odcieniami innej kultury, podczas tej duńskiej potrzeby, zbyt krótkiem było, aby mogło wywrzeć wpływ bardziej stanowczy na nasze rycerstwo, zbyt długiem jednak, by tu i owdzie nie zawiązały się bliższe stosunki zażyłości, przyjaźni, by się nie wraziły w pamięci, w umyśle, bądź w sercu obrazy osób, miejscowości lub zdarzeń. Wrażliwy polski umysł idealizował często dziewice duńskie, widział wcielone swe ideały, wcielone w niewiastach o jasnych włosach i modrych oczach, jakiemi się roją zielone łąki wysp duńskich. Lecz i dziewice duńskie nieobojętnem okiem patrzyły na polskie rycerstwo, dzielne a wytrwałe, pełne rycerskiego animuszu, umiejące na mocnych ramionach unieść ciężką zbroję, umiejące iść w zapasy, nie dość, iż ze szwedzkim mieczem, lecz i z twardą a nieubłaganą w swej srogości przyrodą północną. Skrzydlate to rycerstwo, mocujące się z wrogiem i przykremi klimatycznemi warunkami, wydawało się dla cór Północy czemciś dziwnie uroczem, niezwyczajnem. Opuszczały one, jak się wyraża jeden z uczestników owej wyprawy, lub gotowe były opuścić, rodzinne gniazdo i iść za takim rycerzem do nieznanej a dalekiej Polski.

„Białogłowy (rozumie się duńskie) gładkie i zbyt białe“—mówi ówczesny świadek duńskiej potrzeby, świadek, którego nie dotknął cios szwedzkiej rusznicy, ale go srodze zraniły oczy niewiast duńskich. Białogłowy, dodaje tenże rycerz, opowiadający o duńskich obyczajach; stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie kobiety, gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słychać kiedy jeden do drugiego mówi“.

Te pobieżne uwagi o stroju i gładkości lica duńskich niewiast, nie wyczerpały wszystkich wrażeń naszych rycerzy, jakie ich spotykały w obcowaniu z duńskiemi niewiastami. Rycerze owi, był to lud o dziwnie zapalnym umyśle, wrażliwem sercu szybko tającem pod promieniami czułych spojrzeń modrookich dziewic Północy. Niedość, iż towarzysze pancerni, młódź bardzo młoda, ale i poważniejsze grono rotmistrzów, nie mogło się oprzeć wrażeniom, które wywoływały owe duńskie białogłowy, gładkie i zbyt białe, według określenia przytoczonego wyżej rycerza, pamiętnikarza, ponoszącego trudy duńskiej potrzeby [1]). Niejeden ze szczupłego grona owych mężnych „Czarniecczyków“ — jak nazywano walczących pod wodzą Stefana Czarnieckiego — chociaż się oparł i naciskowi Szweda i nie przeraził się fali rozszalałej morza, składa broń u nóg duńskich niewiast, lub unosi na polskie niwy odźwierciedlenie silnych wrażeń uczucia, które wylewał w mniej lub więcej udatnych erotycznych rymach. Takim poetą, takim piewcą erotycznych uczuć, był jeden z wodzów owych „Czarniecczyków“, walczących w Danii, był Imcipan Alexander Polanowski, rotmistrz pod pancernym znakiem, obok Pągowskiego, Borzęckiego, Kazimierza Piaseczyńskiego, Starosty Ostrołęckiego, Franciszka Czarnkowskiego, Starosty Osieckiego, Michała Wojniłłowicza, Starosty Krośnińskiego, Adama Działyńskiego, Starosty Bratyańskiego i wielu innych rycerzy, będących sławą i zaszczytem narodu [2]). Wiersz Polanowskiego, kreślony w roku duńskiej potrzeby (1658), przechował się w licznych owoczesnych zbiorach; zdradza on zbyt erotyczne usposobienie Polanowskiego, który należał do grona poważniejszych i tych, co się wyróżniali „męztwem i cnotą“ [3]). Nie wiemy dokładnie, przy jakich okolicznościach wylewał na papier rotmistrz pancernego znaku, Polanowski, dzieje zawiedzionej miłości niewieściej; nie wiemy: czy przemawiająca

---

1) Jan Chryzostom Pasek; patrz jego „Pamiętniki“.
2) Kochowski: Climactere II.
3) Tamże.

przez jego usta ofiara zdeptanego uczucia była Polką czy też Dunką: chwila, w której to kreślił, data „1658 r.“, umieszczona na rękopiśmie prastarej erotyki, naprowadza na myśl, że są to rysy obrazu owych duńskich, łacno zawiązujących się i łacno zrywanych, stosunków. Wśród szybko wystrzelających i bujnie rozrastających się uczuć w orężnem otoczeniu duńskiej potrzeby nasi rycerze składali dowody nader lekkich usposobień, gdy tymczasem dziewice Północy, które, wedle współczesnego świadectwa, były „w faktach nie tak powściągliwe, jak Polki“, stawały się ofiarą swej łatwowierności. Zapał ich wrażliwości w odwrotnym był stosunku do srogości zimnych prądów, które przeciągały ponad ich wyspami. Dziewice Skandynawskiego Szczepu, jak o tem mówi naoczny świadek, dziwnie łatwe były do uniesień. „Bo lubo zrazu jakąś niezwyczajną pokazują wstydliwość—dodaje tenże świadek—ale zaś, za jednem posiedzeniem i przemówieniem kilku słów, zbytecznie i zapamiętale zakochują się i pokryć tego nie umieją“. Korzystano z tej wrażliwości. Przy szczęku oręża brzmiała wielekroć i godowa kapela. Stawały często związki małżeńskie między rycerstwem, tudzież naszą czeladzią obozową, a hożemi wyspiarkami różnych warstw społecznych. Towarzysze pancerni, ba, i czeladź obozowa, wzdychali do córek mieszczan i szlachty duńskiej i z wrodzoną szczepowi naszemu lekkomyślnością, z nieoględnym pośpiechem, ku kobiercowi godowemu dążyli, nieraz pochopniej nawet, niż w kraju. W ojczystej bowiem ziemi, jak się wyrażał jeden z pisarzów XVI wieku, jeden szukał sobie żony „z wielkich stanów, nadziewając się z tego (spodziewając się) i powagi i tytułów, i rozmnożenia jakiego domowi swemu dostać. Drugi zasię nie dba ani o miłość, ani o powagę, ani o urodę, ani się żadnym obyczajom przypatrując, kiloby miał ze dwie wsi a w trzeciej połowicę, by też była i garbata i żadna i głupia“ [1]). W Danii na to wszystko wcale się nie oglądano. Czeladź obozowa i rozmaici pacholicy mniej czasu zużywali na wzdychania, lecz z dziwną szybkością czynili postanowienia. Pamiętnikarz nasz, Pasek, który sam przechodził przez niebezpieczne morza wrażeń i swe własne przygody miłosne, przebyte podczas duńskiej potrzeby, skrupulatnie zapisał w swym raptularzu, nie zaniedbał dodać, iż niektórzy z podrzędniejszych ludzi wojskowego rzemiosła naprędce pojęli sobie żony. Znać nie czytali ani moralizowania p. Mikołaja Reya, który rzekł o wyborze żony: „wierz mi, iż tu nie o rękaw idzie, ale o całą suknię, bo to nie do jutra ma być“ [2]). Wśród takich ludzi podrzędniejszych stanowisk w wojskowem rzemiośle pojął żonę w Danii i został tam, „czeladnik“ p. Jana Chryzostoma Paska, Wolski, szlachcic zpod Brzezin; ożenił się on był—dodaje pamiętnikarz—z poddanką pewnego szlachcica, córką gbura [3]).

Wolski ten, acz szlachcic, nie nader szlachetnie z gburami duńskimi postąpił, gdyż po niejakim czasie „uciekł od żony i wyjechał do Polski“.

Znać odstępstwa takie i ucieczki naprędce wśród obcych pobudowanych gniazd rodzinnych, nie były podczas owej zamorskiej potrzeby rzeczą rzadką, Pasek bowiem, mówiąc o Wolskim, dodaje:—i on słowa nie dotrzymał“.

Zrywający ze świeżo zaciągniętemi w Danii obowiązkami zawsze znajdowali wymówkę wobec siebie, innych, i przed własnem nieraz sumieniem. Niektórzy z nich przed sobą i światem radzi się usprawiedliwiali skrupułami religijnego sumienia. Związek z dziewicą duńską, a więc z protestantką, uważali za zbrodniczy, grzeszny. Tenże sam przeto pana Paska *czelada*, Wolski, który uciekł z Danii od żony, tłómaczy się wyrzutami sumienia, niedającemi mu spokoju.

Lekkomyślność, prowadząca do zabaczenia o swych obowiązkach, prowadząca również rycerstwo, jak i ich czeladź, ów gmin rycerski liczny, bo każdy z pancerników występował „zbrojno, *czeladno* i dostatnio“, była chwilową. Wprędce, gdy minęła godzina uniesień, żałowano swego kroku, zastanawiano się nad jego następstwami; powstawały skrupuły, obawy, walka z sobą, z sumieniem, z poczuciem społecznych obowiązków, o których nie zabaczano, owszem, przechowywano je w głębinach ducha i niemi się rządzono. O obowiązkach tych niewiele pisano, wcale nie rozumowano, nie widziano potrzeby chwalić się z ich spełnienia—wszakże je spełniano. To wrodzone poczucie obowiązków społecznych, niezapisane w żadnym statucie, leżące w obyczaju i jeszcze wówczas zeń nieulatniające się, spotykało nie mały szkopuł w przypadkowo wyrobionych stosunkach życia obozowego w Danii, podczas owej wyprawy.

(Dalszy ciąg nastąpi)

1) Mikołaj Rey z Nagłowic:— Żywot człowieka poczciwego.
2) Tamże.
3) Pamiętniki J. Chr. Paska. — Wyd. Raczyńskiego, 1840 r. str. 37.

RÓŻA.

Maj, to legendowy miesiąc poezyi i miłości: słowika i róży; u nas przecież miesiącem róży jest Czerwiec. W Czerwcu, na święto Kupały, stoją w pełnem kwiecie krzewy różanne; Dziedzila, bogini piękna i miłosnego czaru, kwiatek róży w ustach trzymając, zjawiała się młodej wyobraźni Ludów Słowiańskich i posąg jej w wielkiej kontynie na Rugii, stał tak: z rozkwitającym róży pąkiem w ustach. Róża tak dawno zaczęła żyć w pieśniach i poetycznych marzeniach człowieka, jak dawno westchnął on za ideałem piękna i uroczego wdzięku, więżąc nim sobie ziemię z niebem. W mytologii wszystkich ludów świata róża jest kwiatem bogów i aryjscy praojcowie nasi czynią z róży, obok lotusu, kolebkę bóstwa. Na lotusowym kwiecie obudził się do życia wielki bóg Wisznu, i błądząc potem pod cieniem palm, tęsknotą miłosną rozmarzony, ujrzał wśród ogrodów swoich cudowny pąk róży, który gdy mu przed oczyma zakwitał, gdy rozlewając czarowne wonie, rozwijał 800 dużych, a 1.008 małych płatków swej korony, ukazując przytem tyleż odcieni wdzięcznego koloru jutrzenki, bóg zachwycony ujrzał w wonnej głębi uspioną Lakszmi, boginią piękności, miłości i bogactwa, co jest przedziwnem połączeniem przymiotów w istocie piękna, kształcącej ludzkość przez pierwsze idealności rozbudzenie. Wisznu przebudził Lakszmi dotknięciem gałązki zielonej i wyszła ona z różanego łoża, aby stać się małżonką jego i panią świata, ubogaconego już teraz przez piękno i miłość.

Wraz z drugą boską swą siostrzycą, z boginią mądrości i harmonii, wypłynęła Lakszmi na świat z mlecznego morza, ale na rozkoszny sen przedżyciowy poetyczna wyobraźnia indyjskiego szczepu dała jej kwiat róży i jakiej róży jeszcze! Blizko dwa tysiące płateczków cudnych rozchylać się musiało przed oczyma kochanka, zanim piękność czarowna otworzyła oczy i miłość położyła koniec tęsknocie, podnoszącej westchnieniem pierś jego. Róża, kolebka rozkoszy, stała się też w oczach ludzkich kwieciem uświęconem. Persowie, szczep bardzo blizko z indyjskim spokrewniony, zapisał w księgach swoich świętych, Zandaweście, że zanim Aryman, pierwiastek złego, wpływem swój świat dotknął, róża nie miała cierni, więc i dla perskiej wyobraźni był to kwiat cudowny, który pozostał na ziemi z czasów jakiejś lepszej przeszłości — kwiat ideał, który budził tęsknotę i marzyć kazał. Legenda perska przeszła i do chrześcijaństwa; św. Ambroży i św. Bazyli powtarzają to podanie, że w raju róża, kwiat miłości, była bez kolców. Nowoczesna Persów wyobraźnia tłómaczy sobie w smętny bardzo sposób, dlaczego Bóg dał róży kolce, i poeta śpiewa:

—Dlaczegoś, Boże, stworzył różę okrutną?
Dlaczego piękna srogo cierniami kole?
— Aby słowika piosenka była smutną,
By śpiewak cierpiał i kochał swoje bole.

Grecy także cudowny i z uczuciem miłosnem złączony początek dają róży. Afrodyta, bogini piękności, ukochała młodego strzelca Adonisa, kochanek zostaje jej przecież wydartym przez śmierć okrutną, i ona, pragnąc coś, coby cześcią jego było, wiecznie trwałą pięknością uczynić, krew Adonisa w purpurowe róże przemienia. Badacze Starożytności widzą w tej miłości bogini i pięknego młodzieńca myt klimatyczny. Miłość, siła niebieska, wcielona w bóstwo piękności, przenika zapałem swoim całą naturę. ale męzki jej pierwiastek dziki jest i wojowniczy, rwie jej się z objęć, chce zmódz złe, przecież pada ofiarą okrutnych mocy mrożących: zimy, którą tu przedstawia odyniec, zabijający Adonisa kłem swoim, a róża zakwitająca z każdą wiosną, to symbol odmładzania się natury, powrotu słońca, pory miłości i piękna. Czy przecież ta symbolika róży nie jest naciągniętą i złączoną sztucznie z podaniem o jakiejś pięknej, rzeczywiście żyjącej kobiecie, która kochała gorąco i bolała potem tak ciężko, opłakiwała tak gorzko stratę ukochania swego, że poezya rzuciła na ten żal kochanki kilka kwiatów swoich, z krwi Adonisa tak kazała urodzić się róży, jak z łez Afrodyty anemonom. Bukiet to wiosenny, niewymownie piękny przy tej mgle melancholii i tęsknoty, jaką ta pora ocknienia się natury budzi w wielu sercach ludzkich. I w Grecyi już tak być musiało, ktoś zpomiędzy ludzi smutnych, osamotnionych, takich, którzy utracili wesele serca swego i płakali po niem, stworzył tę legendę narodzin róży: dał kwiatowi miłosnemu genealogią smutku i żałosnej za utraconem szczęściem tęsknoty.

Ale róża nie mogła pozostać dla Grecyi całej kwiatem wspomnień smętnych. Natura za wdzięczną, za wesoło piękną była pod pogodnem niebem Hellady i poetyczność żyjącego tam ludu objawiała się w polocie innym. Jakkolwiek i myt Psychy, ktora Erosa na zawsze traci i przez wieczność go poszukując, wieczność tęsknoty miłosnej dla ducha ludzkiego obwieszcza, miała przecież Grecya dla wiosennego miłości świtania czarowną bajkę o hymenie Psychy z Erosem, gdy oblubieniec i oblubienica, różami uwieńczeni, ciągnęli przez świat w korowodzie weselnym, poprzedzeni przez geniuszki śliczne i wesołe, z rogów obfitości kwiaty na ziemię roniące. Młoda ziemia inną, niż dziś, była; człowiek miał w koło siebie całe pierwsze bogactwo natury, jak on młodzieńczej, dziewiczej, i lud grecki obdarzony wysokiem estetycznem uczuciem, piękna tego rozkosznie używał, kwiatami się stroił, z kwiatów wieńce wijąc, bogom swym na ofiarę je przynosił. Ateny, to niewątpliwie pierwsze miasto greckie, miało przecież między tytułami swemi i ten, że jest „fiołkami uwieńczone“, a róża, będąca kwiatem bogini miłości, królować tu musiała koniecznie. Pafos i inne wyspy greckie to kwiatu tego stolice; gdy przyszedł upadek, niewola i jarzmo tureckie, olejkiem różanym, dla haremu sułtańskiego przeznaczonym, płaciły one haracz swój: lecz za dni szczęścia, kwiat to był na wieńce dla ozdoby piękna i godzin życia weselnych. Na tarczy Achillesa widzimy postacie młodych dziewcząt w wieńcach różanych i Herodot opisując różane ogrody Midasa powiada, że uwięziony tam Dionisos, związany został łańcuchami róż o sześćdziesięciu płatkach w koronie. Wykazuje to już róży uprawę kunsztowną i znaczenie do tego przywiązywane, skoro płateczki kwiatu liczono.

Prócz Erosa i Afrodyty czyste Gracye oraz poważne Muzy przedstawiano sobie w wieńcach róż; Ceres także miewała je obok korony kłosów i w ogóle kwiat to był na ofiary dla bóstw wszelkich przeznaczony. Pauzaniasz w opisie podróży swej po Grecyi wspomina, że posągu jednej bogini nie mógł dostatecznie obejrzeć dla mnóztwa różanych wieńców, któremi go obwieszano. W legendzie o sądzie Parysa spotyka się szczegół dowodzący, jak róża uchodziła za kwiat osobliwie piękny, osobliwie uroczy. Gdy trzy bogini na górze Ida zgromadzone, na sąd pięknego królewicza czekały, Juno kazała Wenerze zdjąć swój czarodziejski pasek wdzięków, który-by na wyrok mocą uroków swoich oddziałał. Zmuszona do tego, zwracała się ta najpiękniejsza po inną dla wdzięków swych pomoc, i odszedłszy na stronę, gdy najpierw przez kąpiel w chłodnych falach

Skamandru rozkoszną świeżość członkom swym dała, uwiła sobie potem wieniec z róż, w którym tak cudną się stała, że współzawodniczki pierwsze jej tryumf a swoję przegraną obwieściły.

Różowy świt poranny był przecież u Greków jakgdyby róży wyłącznie poświęconą godziną, a jutrzenka, Eos, za boginię tego kwiatu uznaną. Z przystrojonego różami niebios przedsionku występowała, różanemi palcami wiodła na lejcach złotych cztery rumaki swoje, i róże pełną rękę na ługi i ogrody, gaje ziemskie sypała. Jak woń róży, tak samą już jej barwę uznawano za coś uzdrawiającego, darzącego ulgą w cierpieniu, a podwyższeniem rozkoszy w szczęściu. Róża miała moc odejmowania osłabiającej siły upojeniu miodu lub wina, leczyła ból głowy i była talizmanem przenoszącym miłość z jednej osoby na drugą; wieniec zamieniony uczucia miłosnego wraz z wonią swoją udzielał: więc też kochanek lub kochanka dary z wieńców różanych sobie czynili, a często w tym celu kładziono je nocą na progu domu, zamieszkiwanym przez osobę, której chciano sprowadzić miłosne snu widziadła. Kto wzajemności pewnym nie był, przez wonne płateczki róży wróżby sobie czynił, kładąc je na dłoni i wskazującym palcu wyciągniętej ręki lewej, a gdy potem przez uderzenie ręką prawą, płatki się do niej przylepiły, znak to był szczęśliwy. Kwiat róży był też posłannikiem miłości milczącej; dać go, znaczyło miłość oświadczyć, a że przyjęcie róży było odpowiedzią wzajemności, narzeczonej dziewicy po zmówinach wieniec róż na głowę kładziono i łoże jej dziewicze kwiatami róż zasypywano.

Był to także symbol młodości, bo młodzieniec przystępujący do zgromadzenia mężów i ludzi starszych, wieńczył się różami; a zapewne i symbol wesela, szczęścia, sprzyjającego nam losu, gdyż poeta, który na igrzyskach publicznych pieśnią zwyciężył, dostawał obok wieńca lauru, wieniec róż na czoło.

Usypywano różami drogę, którą przenoszono posągi bóstw, sypano je również pod nogi wielkich ludzi, tryumfatorów i zwycięzców szczęśliwych; rzecz szczególna przecież, że ten kwiat miłości, radości, szczęśliwego dopięcia celu i tryumfu, przeznaczono również na kwiat grobów. Wieńczono nim trumny i sarkofagi, pomniki zmarłym stawiane, i czy nie był to wtedy wyraz tkliwych a niezmienionych uczuć, posłanie miłości, mającej iść za duchem ukochanym poza grób? Moralna Greków istota, pogodną była i harmonijną, w pięknie zakochaną: więc nawet żałobie pośmiertnej posępnego nie dawała wyrazu i boleści, gdy była srogo szarpiącą, tak zarzucała na oblicze zasłonę, jak to uczynił malarz, gdy twarz Agamemnona, w chwili ofiarowania Ifigenii, krajem szaty jego zasłonił.

(Dokończenie nastąpi).

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Mam precz iść?—spytał, śmiejąc się.

— Idź do....

— Do?—spytał Wątróbka—niech pani starościna rozkaże dokąd? Spełnię jej ordynans.

Szurska z najwyższą niecierpliwością wyciągnęła ręce i zamiast odpowiedzi, precz go popchnęła.

— Idź do dyabła!

— Ścielę się pod stopy starościny—odparł Wątróbka.—Zaniosę mu ukłony od niej.

I śmiejąc się a poświstując, wyskoczył w dziedziniec.

Pozbywszy się go, Szurska wskazała Kolibie, aby szedł z nią do więzień.

Stary nie mógł się oprzeć temu, bo, natychmiast latarkę zabrawszy, zwrócił się ku lochom. Nie po raz pierwszy Szurska tu być musiała i szła tak, jakby była obznajomiona dobrze. Spoglądała po drzwiach, słuchała głosów, które z poza nich wychodziły, nie dając żadnej oznaki zdziwienia, ani współczuczucia.

Na pół drogi Koliba odwrócił się, pytając oczyma: dokąd chciała? pokazała mu ciemny kurytarz. Sam on już, niepytając, gdy przyszli do drzwi więzienia, w którem siedział Damazy, począł je otwierać.

Stara, pod tułubkiem, tak samo jak Wątróbka, niosła różne węzełki.

Wchodząc do lochu, znaleźli Damazego, który posłyszał był chód i otwieranie, leżącego i okrytego z głową. Wszystko, co mu Wątróbka przyniósł, pochowane było pod słomę i odzież. Nie miał nawet ochoty podnieść się i spojrzeć na stróża, aż Szurska, przysiadłszy przy nim, odsłoniła kaptur poszarpany, którym miał głowę pokrytą, i zobaczywszy ją obwiązaną, mruczeć coś zaczęła.

Głos ten i dotknięcie ręki przymusiło Damazego zwrócić głowę i obejrzeć się. Poznał starą Szurską, która kiwnęła nań i palec położyła na ustach. Półsłowami mówiąc tylko do niego, zażądała, aby się podniósł.

Koliba, latarkę zostawiwszy na przymurku, sam siadł na wschodkach. Szurska szybko zaczęła odwijać szmaty, które pokładł był Wątróbka, powąchała je, zalała czemś innem, z dobytej flaszeczki, i przyłożyła nanowo.

Z obojętnością znękanego człowieka, który daje z sobą robić, co kto chce, poddał się Damazy nowemu ran opatrzeniu. Szybko i dosyć zręcznie dopełniła tego stara. Położyła przy nim w papier zawinięte jadło jakieś, przyniesione z sobą, coś mu szepnęła bardzo cicho do ucha, popatrzyła na niego—i wróciła do Koliby, który z rezygnacyą jakąś był jej posłusznym.

Po dniach pozbawionych nadziei—od chwili, gdy Marcyan wdarł się do niego, niemal siłą, poczynało wracać Damazemu życie jakieś i choć słaby promyk ufności w przyszłość.

W początkach zwątpił był zupełnie o sobie, znając zajadłość Wolskiego, czekał już tylko śmierci, a chcąc ją przyśpieszyć, głodem się morzył; teraz chciał żyć, choć męcząc się i myśląc, że się jakim cudem wyzwolić może.

Nie rozumiał on wcale, co tu mogło przygnać Wątróbkę, oprócz chętki uczynienia na przekorę Wolskiemu; mniej jeszcze miłosierdzie Szurskiej nad sobą mógł wytłómaczyć, bo ona nie miała żadnego powodu litowania się nad nim. Domyślał się w tem chyba starania brata i przekupienia kobiety, ze skąpstwa znanej.

Gdy mu przyniesiony napój i pokarm, trochę sił przywróciły i senność przeszła, poczuł większy ból w ranach opatrzonych, lecz ten mu najmniej dolegał; myślał: czy brat może w jaki sposób ułatwić mu ucieczkę lub wyrobić uwolnienie.

Pierwsze było prawie niepodobnem, drugie zupełnie niemożliwem. Za życia chorążego, oprócz Sępika, którego Wolski puścił na czas tylko, chcąc się nim posłużyć, nie było przykładu, by kogo z lochów puszczono. Wiedzieli wszyscy o takich, co tu gnili od lat dwudziestu.

Nie przyszło nawet na myśl Damazemu, by chorąży mógł umrzeć, lecz—jakaś nadzieja nieoznaczona, niewytłómaczona, wstąpiła w serce. Byli ludzie, co o nim wiedzieli, co się nim opiekowali.

Ciekaw był: czy Wątróbka przyjdzie znowu, czy Szurska powróci?

Sił trochę odzyskawszy, jednakże daleko więcej cierpiał, niż wprzódy. Gdy go tu rzucono poranionego, po znacznym krwi upływie, padł osłabiony, zrozpaczony i, morząc się głodem, zwolna przeszedł w stan gorączkowego marzenia i senności. Sny zrazu burzliwe i niespokojne, w miarę jak siły tracił, stawały się coraz mniej wyraźnemi, mglistemi, czucie zastygało. Zdawało mu się, że nieznacznie z tych marzeń sennych przejdzie w wieczny sen śmierci.

Niekiedy dziecięcy nałóg, na myśl, że usta przywodziły mu modlitwę, szeptał ją urywała mu się, rozpoczynał nanowo—usypiał. We snach widział Faustysię małem dziewczęciem, z kosami długiemi na ramionach, chodzącą boso po podwórku i uśmiechającą mu się, potem starego króla z Lunewilu, siedzącego przy kominie z długą fajką i łagodnie uśmiechającego mu się; widział przyjaciół, brata i jakichś złych zbójów, którzy go dusili za gardło.

W snach gorączkowych plącze się wszystko przeżyte, a najczęściej to, co najdawniejsze, co zapomniane i pogrzebione. Te lata młodości nanowo prześnił był Damazy. i teraz rozbudzone wspomnienia ich, przychodziły mu żywsze. Sam przed sobą spowiadał się ze wszystkich lat, szczęśliwych i czarnych.

Chciał znowu żyć, nie tyle może dla nadziei szczęścia, ile dla pomsty nad wrogami. Niechrześcijańskie to uczucie, najtrudniejsze do wyrwania z serca ludzkiego, tkwiło w nim dziwnie obok modlitwy.

Izba więzienna, którą teraz, zapaliwszy stoczek na chwilę, mógł poraz pierwszy obejrzeć lepiej, nie miała światła i okna. W górze ciemna szyja zakratowana wychodziła gdzieś, złamana tak, aby się nią żaden promień nie wcisnął i wiała czasem chłodnem powietrzem.

Sciany ceglane, których barwę zieleń pleśni zmieniła, całe były mokre i jakby przesiąkłe wodą. Gdzieniegdzie połyskiwała ona na zrębach. Zdaleka, w drugim rogu izby, przy ścianie postrzegł Damazy, przerażony—zwisły łańcuch zardzewiały, którego końce leżały na ziemi, a tuż pod niemi bielały rozrzucone kości. Pomiędzy niemi, przyglądając się pilniej, rozpoznał czaszkę ludzką wywróconą, której kość od wilgoci już popękała.

Kilka żeber i piszczeli sterczało z kupy jakiegoś śmiecia i zgnilizny. Damazy przeżegnał się i za tego męczennika odmówił Anioł Pański.

Dawne te jakieś dzieje, zapomniane, wypisane były temi szczątkami człowieka, któremu nawet nie dano pogrzebu.

Damazy, nierychło ośmieliwszy się, po odmówieniu modlitwy spróbował podnieść się na nogi. Zdawało mu się, że obowiązkiem jego było te obnażone kości zagrzebać i ziemią przyrzucić. Grabarski ten obowiązek dlatego chciał spełnić, że mu widok czaszki i resztek niedogniłych przykre sprawiał wrażenie.

Postawiwszy stoczek na przymurku, Butrym zbliżył się ku miejscu, w którym łańcuch był zwieszony. Oprócz czaszki i twardszych kości piszczeli, żeber, porozrzucanych jak rozerwany różaniec kręgów pacierzowych, nic tu już nie pozostało, a resztki kości wilgoć tak przejadła, że się w rękach rozsypywały. Ziemia w tem miejscu miękka dała się podnieść rękami; Butrym rozgarnął ją, wykopał dołek i z pobożnem uczuciem począł składać w nim wszystko, co jeszcze na powierzchni leżało.

Na jednej z maleńkich kości, coś mu zabłysło. Była to złota obrączka. Nieboszczyk za pogrzeb mu płacił. Na szerokiej obwódce, stały dawnem pismem wyryte wyrazy:

Serce moje i twoje
Połącz, Boże, oboje.

i rok 1590.

Stare dzieje! — Serca te rozdzieliła niewola i śmierć, a z dwóch nieznanych żywotów została martwa obrączka, trwalsza niż życie.

Z uczuciem takiem, jakby mu historya tych kajdan i męczeństwa była znaną, Butrym na palec włożył pierścień ów ślubny.

Miałoż to znaczyć ślub ze śmiercią, czy przepowiednią być życia, które serca połączy?

Pogrzebłszy kości, Damazy wrócił na swój barłóg—i zabrał się do spoczynku. Nie było tu dla niego ani dnia ani nocy. Nawet przyjście Koliby nic nie oznaczało, gdyż klucznik, przyniósłszy dzban wody i kawał suchego, zapleśniałego chleba, czasem się po dwa dni nie zjawiał, czasem dwa razy na dzień zaglądał.

Głosy zzewnątrz nie dochodziły prawie i dzwonów kościelnych nie mógł nawet dosłyszeć. Niekiedy, gdy w dziedzińcu brukowanym ciężkie wozy blizko przechodziły, zdawała się drżeć ziemia.

Wśród ciemności — słyszał nocą tylko szmery jakichś istot niewidzialnych, które z nim dzieliły więzienie—ale nie widział ich. Owady ślizkie jakieś i zimne, znajdował przylgłe do ciała, gdy się budził i zrzucał je z obrzydzeniem. Lecz, coby innego człowieka zabić mogło, silnej tej naturze, nawykłej do trudu, gdy raz pragnienie życia się rozbudziło, służyło tylko do krzepienia go, do wyprowadzenia ze zdrętwiałości i uśpienia.

Nazajutrz nie zjawił się Koliba, nie przyszedł nikt, nic nie przerwało milczenia głuchego tego grobu. Na chwilę Butrym zapalił stoczek, aby poszukać pokarmu, który wygłodzonemu zdał się dziwnie smacznym. Siły wracały. Rany mniej bolały dnia tego. Myśl w głowie chodziła rzeźwiej. Ludzie o nim wiedzieli, brat pracował dla niego, naostatek Bóg, gdyby go nie chciał ocalić, czyżby mu nie dał w pierwszych dniach zakończyć mizernego żywota?

Trzeciego dnia otworzyły się drzwi, wszedł Koliba, dzban świeżej wody niósł, chleb pod pachą i miskę postawił przy nim, w której ciepła strawa była.

Nie odezwał się, stojąc nad nim, gdy jadł—a na—Bóg zapłać—nie odpowiedziawszy ani mruknięciem, zawrócił się i drzwi zamknął za sobą.

Wróciły ciemności i milczenie.

Dnia 4 Maja, wedle zwyczaju, uroczyście obchodzić miano św. Floryana imieniny księcia chorążego. Ktotylko chciał na łaskę jego zasłużyć lub się w niej utrzymać, dnia tego submittować się musiał.

W wigilią już miasteczko i zamek nadzwycaj były ożywione. Książę chorąży starzał i chorzał, mówiono o testamencie — a rzeczą jest dowiedzioną, że najwięcej ludzie dworują młodym pannom, a starym bezdzietnym u grobu stojącym bogaczom. Zjazd też w tym roku obiecywał się nadzwyczaj liczny. Niemówiąc o tem, że z Zawieprzyc pan Wojewoda Czerniechowski, teść księcia chorążego, przyjechać musiał, bo dotąd losu przyszłego córki nie mógł zapewnić; księżna krajczyna, uczony książę Udalryk, Sapieha jeden, Massalski, obywateli z Brzeskiego mnóztwo dążyło do Białej.

Obiecywano, iż hetman wyśle z gratulacyą syna księcia Karola, Miecznika Litewskiego, lecz pono miecznik wolał polować z przyjacioły i wymówił się od podróży, która mu groziła urzędową, obowiązującą nudną powagą.

Szambelan Kaszyc bawił już od dni kilku; książę się dowiadywał i spodziewał Matusewicza; drobnej szlachty nie liczono.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Poświęcenia, komedya w 3-ch aktach, *Józefa Narzymskiego* i *W. S.* — **O własnej sile**, komedya w 3-ch aktach, oryginalnie przez *L. Święcickiego* napisana (wierszem). — **Czyja wina?** obrazek dramatyczny w 1-ym akcie, *H. Sienkiewicza.* — **Dziwacy**, fraszka sceniczna, w 1-ym akcie, *Leopolda Świderskiego.* — **Różowe domina**, komedya (!) w 3-ch aktach z francuzkiego, pp. *Delacour* i *Hennequin.*

Najgorszymi egoistami są egoiści *poświęcający się*; egoizm tego gatunku widzi poświęcenie we wszystkiem, z czego sam żeru dla siebie nie ma. W małych i płytkich umysłach—a takich jest przecież większość na świecie — sprzymierza się ten chciwiec z obłudą, stroi się w pawie pióra zamiarów i czynów uczciwych, nawet szlachetnych; napełniając świat sobą, zawsze i wszędzie *sobą*, utyskuje, że mu na tym świecie niedość miejsca zostawiono; przedstawia siebie, zawsze siebie, jako ofiarę otoczenia swego; w ten sposób *poświęca się* ciągle i, wbijając gwóźdź fałszu coraz głębiej w duszę, sam w końcu wierzyć zaczyna w to, czem ludzi okłamuje. Ponieważ świat naokoło niego się obraca, ztąd rzecz prosta, ma on prawo uważać się za dobroczyńcę świata. Z pychą, nieodrodną córą egoizmu, łączy się zawsze, przy takich kształtach i rozmiarach umysłu, tchórzowstwo moralne: egoizm, jeśli nie jest okrutnym, musi być zawsze obłudnym, jeśli nie rozbija, kłamie. Obłuda stanowi niezbywalny przymiot dusz egoistycznych a małych. Człowiek, niemając odwagi nazwać się przed światem i ukazać takim, jakim jest, przybiera maskę, udaje poświęcenie. Dla satyry i komedyi temat przepyszny.

Obrali go do komedyi swojej panowie Narzymski i W. S. Utwór ten poznaliśmy dopiero w tych czasach ze sceny ogródkowej. Nie wiemy co z tej wspólnej pracy na dział W. S. przypada, ale zdaje nam się, że i sam temat i wszystkie dramatyczne w rozwoju jego momenta w umyśle Narzymskiego się poczęły. Natura głęboko moralna, umiał Narzymski łączyć lekkość własnego życia z poważnym, szczerze uczuciowym i prawdziwie mądrym na świat, na człowieka i sprawy jego poglądem. Miłość społeczeństwa uczyniła z niego moralistę w najszlachetniejszem znaczeniu. Żaden z naszych komedyopisarzów nie wyjmując Fredry, nie stwierdził takiej, jak Narzymski miłości ideału moralnego, a pamiętać potrzeba, że autor *Pozytywnych* nie przemawiał nigdy bełkotem peror i deklamacyj, ale rodowitym językiem, rodowitym stylem sztuki: rozwojem charakterów i stosunków ludzkich. Jakże wysoko stanąłby ten człowiek, w trzydziestym roku życia zgasły, gdyby go nie trapiła długa, krew z serca wysysająca choroba; gdyby był dożył przynajmniej dni dzisiejszych w lepszem zdrowiu, bycie i warunkach ogólnych! Dziesięć lat dodane do życia takiemu talentowi, to prawie nieśmiertelność. Miała prawo Talia polska zasmucić się po skonie Narzymskiego; utraciła bowiem siłę młodą, czerstwą, wiele obiecującą, siłę rzeczywistą. Poetyczny młodzieniec mógł się stać zczasem dramaturgiem wpływowym, jednym z tych, co-to egoizm, słabość i nieprawość ludzką na tortury brać umieją, a przytem pisarzem najwybitniej narodowym. Żal za młodością własną, gdy jeszcze wiek późniejszy pozostał, nie jest tak ciężkim; jak żal za młodością cudzą, po której nie zostało już nic, nawet minuty jednej. Nie można dość odżałować młodości, którą pieściła ciągle sława, a nagle pochłonęła śmierć. Skon Narzymskiego był prawdziwie przedwczesnym. Przyjaźń gorącą nad nim łzę wylała. Nie pamiętamy sympatyczniejszego młodzieńca, a po Romanowskim wyższego talentu, zgasłego za dni naszych. Blada, wiotka postać rosła jak drzewo zieleniejące się bujnie nad krynicą uczuć i ideałów najczystszych. To drzewo miało przez długie lata darzyć owocem pożywnym i słodkim, zapewniać cień ludziom strudzonym, zapraszać do siebie liści swoich drżeniem. I nagle podcięte siekierą, padło. Dziecię z niebieskiemi oczyma porwała ta, która nic nie oddaje.

Poświęcenia są jeszcze utworem prawie początkowym. Po *Wielkich ludziach powiatowych*, nastała długa chwila przerwy. Około 1870 r. dopiero wziął się Narzymski nanowo do dramaturgii i wspólnie z p. S. wytworzył dzieło, któremu tę wzmiankę poświęcamy. Wydrukował je *Tygod. illustr.* w 1870 r. (półrocze II; Nr 138—150); dlaczego nie przedstawiła scena nasza, choć przedstawiała utwory o wiele gorsze? Tajemnicy tej badać nie chcemy; powiemy tylko, że lepiej późno niż nigdy, i dziś jeszcze można złe naprawić. *Poświęcenia* w każdym razie zajmą, a gdyby nawet miały otrzymać tylko *succès d'estime*, ze względu na zmarłego współautora, to i tak trud nie byłby straconym. Pan S. mógłby łatwo dwa pierwsze akty zesunąć w jeden, a to podniosłoby znakomicie wartość sztuki. Pierwszy szczególniej akt jest rozwlekłym; cała tak zwana *expozycya* zawiele miejsca zajmuje. W końcu aktu II-go, począwszy od sceny VIII, działanie się ożywia, a w akcie III i IV jest już na co patrzeć i czego słuchać. Rozmowa Darzyńskiego z p. Izabellą w scenie VII, poetyczna a prawdą natury przejęta, wprowadza nas w sfery wyższej już dramaturgii: misternie przerwano ją wejściem nieproszonej osoby. W całej robocie tej sceny, czujemy rękę poety i artysty, jakim był Narzymski. Effekt z Hilarym Starykiewiczem (Zgrzybkiewicz), w którego konkury widz zrazu wierzy, jakgdyby w prawdziwe, jest najzupełniej naturalnym a dosadnym; szkoda tylko, że autorowie nie utrzymali uciesznego staruszka, w stosunku ciągłego sąsiedzkiego pożycia z Mirkowskimi. Zbytecznem jest *qui pro quo* z Zosią, bo najpierw zmusza do powtórzenia jednej i tejsamej formy dramatyczności, a powtóre, pozostaje bez wpływu na rozwój sztuki; jest to nić założona na to, aby nie być wysnutą. Ukaranie Izabelli i matki przepyszne. Walka w sercu córki zastosowana do rozmiarów i stylu jej duszy: wychowanie przez tak poświęcającą się matkę, musiało wydać takie poświęcenie się córki. Zosia, Gustaw Stawiarski—dość nikli, Artur Darzyński, prawdziwy, na wczoraj i dziś zarówno prawdziwy: nieprędko zniknie rasa mężczyzn wierzących w kobietę dlatego tylko, że kobieta, pięknością formy pociąganych, i w formie tej niezdolnych sobie wyobrazić treści innej, jak tylko piękną: motyle lecące do światła; a im który z nich szlachetniejszy, tem większym może być mazgajem i tem łatwiej spłonie.—Wykończeniem, okrągłością, doskonałością charakterów jako wytworów sztuki, nie odznaczają się *Poświęcenia*. W żadnym charakterze, z wyjątkiem córki, temat poświęcania się nie jest psychicznie ugruntowany, snuje się tylko przez wszystkie z woli samych autorów: majaczy o poświęceniach poczciwy safanduła Mirkowski, poświęcając się pszczołom, a przez nie krajowi; łapie się na wędkę poświęcenia Starykiewicz, ofiarą poświęceń pani Mirkowskiej pada kilka razy na dzień nieszczęśliwa jej siostra Irena. Jeden tylko, rzeczywiście poświęcający się dla przyjaciela, Stawiarski, milczy. Gdyby mu więcej miejsca dano w sztuce, byłby to doskonały młodzieniec—do życia, do czynów, nie do marzeń i uczuć.

O własnej sile nowego autora, p. L. Święcickiego—tak opiewa afisz—przedstawia kobietę, która jest zupełną antytezą Izabelli Narzymskiego. Tamta zerwała z narzeczonym, młodym, przystojnym i zamożnym, aby wziąć starego, wstrętnego, ale zamożniejszego, bo milionera; ta opiera się w imię najszlachetniejszej i najrozumniejszej emancypacyi kobiecej, w imię praw serca swego, namowom matki, podobnie jak Mirkowska—płochej. Cała rzecz bardzo zacnie napisana, na temat nie nowy, ale nowość w pomyśle nie jest pierwszym zasadniczym i niezbędnym przymiotem gotowego już pięknotworu. Nic nowego pod słońcem: a jednak wszystko nowem być może, gdy je odnowi, odświeży i wskrzesi do nowego życia ta czarodziejka, której na imię poezya, i ten potentat, któremu na imię rozum. Utwór p. Święcickiego, obok wiecznotrwałego tematu kobiety, kochającej wśród przeciwności, przeprowadza jeszcze inny, dążnościowo-społeczny: przedstawia nam rodzinę zruinowaną, którą praca wstrzymuje nad przepaścią nędzy i stoczyć się w nią nie dozwala. Aniołami tej pracy są: owa broniąca się od małżeństwa z człowiekiem bogatym a niekochanym, Wanda i wychowanica jej rodziców, Marylka. Pod wpływem tych dwóch aniołów nawet pantofel papa Drzymski i sekutnica mama Drzymska, zaczynają żyć o własnej sile i zakładają w Warszawie pracownią szewcko-introligatorską, pod kierunkiem obu dziewcząt. Niebezpieczeństwo nawrócenia ich ominął autor w sposób bardzo łatwy: kazał mu się spełnić między drugim a trzecim aktem. Niemogliśmy dojść: dlaczego Henryk, zakochany w Wandzie, tak gwałtownie w najgorszej chwili wyjeżdża i całe dwa lata bawi w Paryżu, kiedy ci tutaj mocują się z przeciwnościami, z niedostatkiem, a nieraz może i z głodem? W zakończeniu, jakgdyby *deus ex machina*, wyskakują na raz dwa wygrane processy; ale myśl autora przytem zupełnie rozumiemy. Pieniędzy nie uważa on za niezbędne do szczęścia, a przynajmniej szczęśliwego rozwiązania dramatu, chce tylko wskazać, że dopiero przez doświadczeniu, rozsądku i umiejętności życia, zbyt późno, co prawda, nabytej przez Drzymskich, pieniądz, nie będzie już dla nich nożem szalonego; będą oni teraz umieli szanować majątek, teraz, gdy ich los tak porządnie wychłostał za lekkomyślność. Autor odebrał im mienie tak, jak dobry wychowawca odbiera grymaśnemu dziecku zabawkę. Całość sprawia wrażenie melodramatu, a sprawia je pomimo prawdziwie jędrnej ironii lub zwięźle wyrażającego się humoru, pomimo komicznych postaci Brygidy, dewotki, i Fredzia, łobuza rodzinnego. Malowanie dewocyi jest zbyt jaskrawem i nieostrożnem: karcąc pietyzm chorobli-

wy, obraża samę modlitwę i nabożność, od religij stanowionych nieodłączną. Deklamacya, piękna wprawdzie, poetyczna i rozumna, szkodzi wszakże dramatyczności przez tosamo. że jest, że ją czuć jako *deklamacyą*. Charakter Wandy bardzo wzniosły i starannie opracowany. Nadspodziewanie wiersz i nadspodziewanie wiersz dobry, obok innych zalet utworu, z których najważniejszą jest siła i wdzięk w wysłowieniu, wskazują, że p. L. Święcicki, nie jest zwyczajnym wytwórcą sztuk teatralnych, ale lubi i na Helikon zaglądać.

Kto chce się przekonać: czego na scenie samym stylem dokazać można, ten niech zobaczy obrazek dramatyczny pana H. Sienkiewicza pod tytułem: *Czyja wina?* Ze stylu bije tu żar taki, że czujemy każde drżenie dwojga żywych serc ludzkich. Jest to tylko rozmowa, dyalog, ale słuchając go, zapominamy chwilowo, że jesteśmy w teatrze. Ta właściwość talentu p. Sienkiewicza, którą przy rozbiorze jego powieści nazwaliśmy siłą główną, zasadniczą, w obrazku niniejszym wydała z siebie całą prawdę i piękno i samę treść utworu. Odejmijcie obrazkowi temu styl, a zostanie z niego tylko skielet wydarzeń i stosunków powszednich, nikogo zająć niezdolnych, a nawet niezupełnie prawdziwych. Ale p. Sienkiewicz jest artystą; na ten suchy skielet talent jego ponawijał muskuły, żyły i nerwy, przyoblekł go w kształty cielesne, życie weń tchnął—i rzecz błaha stała się rzeczą piękną, która podobne *dialogues* i *proverbes* Mussetów i Feuilletów do rozprawy olepsze wyzywa. Dzięki plastyczności stylu p. Sienkiewicza, dziwactwo mężczyzny, malarza Leona, przedstawia się jako poważna przyczyna tragiczna stosunku serc, a lekkość kobiety, Jadwigi Karłowieckiej, rozkapryszonej damy, przebywającej najniebezpieczniejszy dla mężatek Rubikon *nudów*—znika pod wrażeniem siły uczuć, tłómaczących się takiemi a nie innemi słowami. Musiał być porządnym oryginałem ten, kto w odezwaniu się ukochanej: „więcej oddaję, niż biorę“ dostrzegł obrazę tak wielką, że nawet jednego słowa wyjaśnienia nie żądając, odjechał i nie pokazał się więcej. Ludzie, co dziś jeszcze tak się kochają, przed dwoma czy trzema laty nie mogli się tak rozstać; gdyby nawet on śmiałości nie miał, ona-by się z pewnością na bohaterstwo złamania konwenansu szlacheckiego, baronowskiego, a nawet książęcego, zdobyła. Pod kaskadą słów gorących zapomina się o nieprawdopodobieństwie wydarzenia; ale po rozmyśle krytycznym wytknąć je potrzeba. Na pytanie: *Czyja wina?* można mieć iednę tylko odpowiedź: „Wspólna“.

Rozstają się zatem. Panna Jadwiga z Kalinowic wychodzi za p. Karłowieckiego, przepędzającego użyteczny dla kraju i ludzkości żywot swój w Chantilly pod Paryżem; Leon maluje dalej obrazy. Ją otacza rój wielbicieli, których sobie lekceważyła; jego—rój wspomnień, z któremi przebywać lubi. Więcej jest ruchu, siły i fantazyi w niej, więcej stałości, wiary i uczciwości w nim. Ona przedstawia stronę czynną wspólnych im dziejów, on — bierną. Po latach — a lata są wiekami dla serc, które zapomnieć o sobie nie mogą — ona pierwsza zbliża się do niego, pierwsza wyznaje mu miłość, pierwsza wymawia syrenie słowo „rozwód“ i pierwsza też na ledwo odbudowany ołtarz świętości dawnej rzuca, niby piaskiem, spazmatycznym śmiechem niewiary i odstępstwa. Ani chwili walki i ukojenia, a choćby tylko wypoczynku. Ledwie przebrzmiała rozmowa, rozlega się rozkaz „Prosić!“ i wchodzi jeden z wielbicieli, ten, o którym z własnych jej ust wiemy, że może się stać czemś więcej, niż prostym motylkiem latającym naokoło róży.

Jadwiga staje przed nami ostatecznie jako jedna z tych istot trudnych do odgadnięcia, które z tego powodu nazwano sfinxami. Taką jest Jadwiga jako indywidualność, nie jako typ, ale nawet w takiem pojęciu zakończenie powyższe wydaje nam się prostym effektem scenicznym, pozbawionym prawdy. Znamiona prawdy zato nosi na sobie całe zachowanie się Leona. Jestto już indywidualność tak wyraźnie ukształtowana, że nikomu na myśl przyjść-by nie mogło upatrywanie w nim typu. Takich mężczyzn jak Leon jest niewielu. Silny w ostatecznych postanowieniach, słabym on jest przez dostępność dla wzruszeń i słusznie też sam słabość swą zeznaje. Gdybyśmy przedtem już znali jego ukochaną, moglibyśmy po pierwszym jego wejściu na scenę powiedzieć: co go czeka w spotkaniu z indywidualnością tak silną, jak Jadwiga. Kto chce twarz swą bladą ukazać, ten wyjdzie z okopów dumy i da się znowu uczuciu porwać. Uczciwe cofnięcie się, odtrącenie mary rozwodu, leży zupełnie w charakterze Leona. Obie dusze są niezwykłej miary: ona nie będzie nigdy pospolitą zalotnicą, on powszednim mazgajem; dusza to idealna, artystyczna, czysta — ale wątła i tylko prawością swą silna, coś w rodzaju Andrea del Sarto lub Correggia.

P. Sienkiewicz pokazał w *Hani*, jak miłość odczuwać i artystycznie odtwarzać umie; w dyalogu tu rozpatrzonym złożył nam nowy dowód tej umiejętności. Zadaleko jednak posunęlibyśmy się. gdybyśmy z prób dotychczasowych wyprowadzać już chcieli pewnik, że autor *Na jedną kartę* będzie pisarzem dramatycznym. Rozbiór tej właśnie sztuki musiał nam pewne wątpliwości nasunąć i dziś wobec dyalogu, któremu wszelkie oddajemy pochwały, nie możemy ukryć uwagi, że styl, ten król w powieści, do sztuki dramatycznej sam jeden nie wystarczy. Dramat powinien być nie zbiorem dyalogów gorącym, barwnym plastycznym stylem pisanych, ale organiczną budową wzniesioną z charakterów: nie dyalogi, ale charaktery dobre, artystycznie dobre, wytwarzać potrzeba, chcąc być dobrym dramaturgiem.

Obrazek odegrano poprawnie; tylko p. Ładnowski miał minę zanadto cierpiącą. P. Chraszczewska niedostatecznie jeszcze grę swoję wyrównała, zwłaszcza ze względu na ruchy; niekiedy również i głos brzmiał na niewłaściwą nutę. Gra w obu rolach jest bardzo trudną i wymaga nietylko talentu, ale i wielkiego doświadczenia scenicznego. Zagrać taką rolę, jak Jadwigi lub Leona, poprawnie, to już rzecz niemała; przyznanie choćby samej tylko poprawności za pochwałę już starczyć powinno.

P. Leopold Świderski z miłego i wdzięcznego dla siebie pola drobnych dramacików naiwno-dążnościowych wtargnął w najnowszym swym utworze *Dziwacy* na pole satyry. Nie idzie mu na niem tak raźno i swobodnie, jak na dawnem; urodzaj tu mniejszy, bo i mniejsza żyzność, a chcąc sumiennie wartość plonu określić, powiedzieć potrzeba, że składa się on z pustych prawie kłosów. Wszyscy ci dziwacy, i troje starych, i młody Stanisław, niczem się nie odznaczają. Są to figury całkiem ubogie; ich śmieszność tak już znana, że przestała być śmieszną, ich położenia zużyte, ich stosunki zzewnątrz, nieprawdopodobnie, jak bywa we wszystkich żartach scenicznych, naciągane: słowem próżnia, czczość, brak wszelkiego oryginalnego zosobienia i ustosunkowania postaci działających. Okazuje się po tych *Dziwakach*, że zdolność p. Świderskiego nie zdoła jeszcze unieść ciężaru satyry. W takim rodzaju dramaturgii, do jakiego *Dziwacy* należą, najłatwiej jest pisać, *id est* stawiać czarne znaki na papierze, ale najtrudniej może pisać dobrze. Jedynie na uwagę zasługujący moment sztuki stanowi płochliwość rodziny przed Stanisławem, od poprzedniego odgrażania się jaskrawo odbijająca. Wszystko inne, stare już, zużyte, oklepane; całemi korcami takie lalki z worka literackiego wysypywać można. Nawet doskonała gra p. Sikorskiego w Teatrze Nowym nie zdołała niesmaku zatrzeć.

Aż dwóch panów Alfredów, Hennequin i Delacour, złożyło się na jedno głupstwo, ochrzczone nazwą: *Różowe domina*. Temat tu niby takisam, na jakim Fredro młodszy osnuł swoje *Wielkie bractwo*; ale właściwie sztuka obywa się bez tematu; autorowie, przyjąwszy role kelnerów, pokazują noc w restauracyi paryzkiej po balu maskowym i robią zabawne *qui pro quo* z garderobianą, którą każdy z trzech mężczyzn działających bierze za inną kobietę, a żaden za prawdziwą. Oczywiście wszystkich drwin z małżeństwa, z cnoty, ze skromności zliczyć-by niepodobna. Wszystko to jest w rodzaju piwno-ogródkowym, i zagrane w jakiej budzie jarmarcznej, większe-by jeszcze wrażenie, aniżeli na scenie teatralnej, sprawiło. Śmieje się ludek; nie może się niekiedy od śmiechu wstrzymać i sam sprawozdawca: ale to nie sztuka, to coś jakby taniec św. Wita; nie estetyka, ale patologia powinnaby się z autorami rozprawić.

S. K.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Nekrologia. — Groby. — Pustelnik z Kaprery. — Garibaldi. — Życie na Caprerze. — Zmarli w Dreznie: Grüner, Dr. Hettner, Clauss. — Wystawy obrazów. – Malarze ukoronowani i pisarze—Obrazek królowej. — Panna Zofia von Torma, jej prace archeologiczne i życie. — „Z życia Maryi Antoniny“ przez J. de St. Amand.— „Studya“ H. Bentzona.— Pisarze angielscy i amerykańscy.—Samarow.—Beecher Stowe.—Humoryści i poeci. Ouïda.—„Jeruzalem“ księcia Lubomirskiego.

(Dokończenie).

Pod ogólnym tytułem: „Les femmes des Tuilleries“, p. Imbert de Saint-Amand wydał obraz z życia Maryi Antoanety od r. 1789 — 1791. (Paris, Dentu, str. 318). Jestto właściwie ułamek tylko z tego nieszczęśliwego, straszliwego dramatu dziejów Francyi, który nie przestanie nigdy poruszać i oburzać, pełen zajmujących epizodów, ale przedstawiający nam królową, jakby z profilu tylko i w popiersiu. Ograniczywszy się ściśle chronologiczną ramą nadaną książce, autor ukazuje nam królową w całym blasku pierwszych lat jej męczeństwa, jej otoczenie, króla, dwór — nie dając poznać najtragiczniejszego wyrobienia się tej fiziognomii, która w ostatnich chwilach życia do heroizmu się rozpromienia. Zupełnie nowych szczegółów nie znajdujemy tu wcale, ale materyał już znany, zużytkowany zręcznie i umiejętnie.

W części pierwszej Mirabeau, w drugiej Barnave, w trzeciej książe d'Orleans, obok królowej ściągają uwagę. Postaciom tym, najbardziej Mirabeau, poświęcił p. de S. Amand może więcej kart, niżby należało. Królowa znika wśród tych figur, coraz nowych, na które główne światło jest skierowane. Epizod ucieczki i uwięzienia w Varennes może jest jednym z najlepiej opowiedzianych i obudza w czytelnikach najżywsze zajęcie. Zimna krew Ludwika XVI występuje tu niemal jaskrawo i dziwacznie. Nie potrzebujemy dodawać, że autor z największem poszanowaniem i czcią jest dla rodziny, której losy opowiada; a szczególniej wynosi heroiczną odwagę i zimną krew królowej.

Powieść kończy się powrotem do Tuilleries tej nieszczęśliwej księżny de Lamballe, która wkrótce miała poświęcenia się swojego paść ofiarą.

Wielką zasługą autora, którego talent nie pozwala się z tej pracy ocenić, jest to, że on sam znika i mało się tu czuć daje. Mówią za niego same fakta i współcześni ich świadkowie.

Na okładkach francuzkich nowości spotykamy się ciągle z nowemi imionami młodych pracowników, którym trudno się dorobić tego rozgłosu, jaki poprzednicy ich pozyskali w szczęśliwszych chwilach. Nawet szkoła Zoli, ostatecznemi środkami zdobywająca nie sławę, ale—osławienie, nie wydała tak wybitnych talentów, by jakieś nadzieje budować na nich można.

Wśród tych małoznanych imion natrafiamy jedno, współpracownika starego „Przeglądu dwóch światów“. P. Th. Bentzon, który wydał świeżo parę tomów studyów, pod tytułem: „Literatury obce i obyczaje“ (Littérature et moeurs etrangères. (Calm. Levy. 1882, 316 i 307, pp.) Wzięliśmy je do ręki, prawdę rzekłszy, w nadziei, że wśród tych obcych, może i my się znajdziemy, chociaż we Francyi po 1870 nie liczymy przyjaciół i sympatyi nie mamy. Nadzieja, naturalnie, zawiodła; ale studya te zasługują na wzmiankę i stanowią zajmujące czytanie, chociaż nie odznaczają się ani śmiałemi poglądami, ani oryginalnością. P. Th. Bentzon ma tę wielką zasługę, że przedmioty do swych sprawozdań wybiera szczęśliwie i treść ich daje starannie, dokładnie wyciągniętą, Francuzi, nieczytający chętnie dzieł obcych, które dla ich smaku są zawsze — mniej właściwe, zawsze się im wydają nudnemi,— radzi są, szczególniej z angielskich rzeczy nowych, mieć dla swego podniebienia przyprawne, osmaczone buljony. P. Bentzon umie taki bulion à la française doskonale gotować. A jak jest bezstronnym i obojętnym w wyborze przedmiotu z którego tę potrawę robi, świadkiem to, że

on pono pierwszy dał Francuzom przełknąć usmażonego Sacher-Masocha, równie i razem prawie z Bret-Harte'm. To nam dać może miarę kunsztu kulinarnego, dla którego wszystko jest jedno czy przyprawia Samarowa, G. Eliot, Ouïdę czy Sacher-Masocha!

Słyszeliśmy to z ust własnych jednego ze... znakomitych literatów francuzkich, że pisarzów obcych Francuzom potrzeba koniecznie do ich smaku przykrajać, adaptować, a surowych na żaden sposób dawać nie można. Tensam znakomity pan, chwalił się tem, że on uczynił we Francyi Jokaya możliwym.

Lecz wróćmy do studyów p. Bentzon'a. Pierwsze z nich są obyczajowemi raczej niż literackiemi. Na czele stoją haremy Wschodu i amerykańskie wedle dzieł pani Kibrizli Mehemet-pasza (Thirty years in the Harem) i pani Stenhouse (A Lady's Life among the Mormons). Obie książki są ciekawe; dają zapewne zarysy prawdziwe tego osobliwego życia, ale obudzają wstręt do niego. Dopełnieniem wizerunku Mormonów są obrazy społeczeństw kommunistów w Stanach Zjednoczonych, z których jedno zaledwie zdaje się mieć pewne warunki żywotności.

Za tem idzie obszerny bardzo rozbiór i sprawozdanie z jednego z najdawniejszych, przed laty dziesięciu wydanych romansów Samarowa (Meding'a): „O berła i korony". Francuzki krytyk, dla którego śmiałe wyprowadzenie osób żyjących na scenę, miało urok pewien, poświęca opowiadaniu temu, dosyć fantastycznemu, w Niemczech osądzonemu surowo, więcej może miejsca, niż zasługiwało. Całe sceny pomiędzy ks. Bismarckiem a Manteufflem są tłómaczone *in extenso*. Sąd jednak o tym utworze, jako dziele artystycznem, wypada w końcu surowo i jest sprawiedliwy. „Nie, pisze Bentzon, polityka nie jest polem dogodnem dla wyścigów wyobraźni; prawdziwy talent nie poniża się, idąc w służbę stronnictw i ich namiętności, nie schodzi do nieuchronnych pochlebstw, bez których o współczesnych wypadkach mówić nie można. Ciężkie, jak traktat historyczny, dzieło Samarowa przypomina z pewnych względów te zapomniane wyroby pensyonowanych naszych pisarzów, którzy pod pozorem dziejów smarowali panegiryki" i t. d.

Połowa naostatek pierwszego tomu poświęcona jest bardzo wyczerpującej treści trzech ostatnich powieści G. Eliot'a: „Middlemarch", „Daniel Deronda", „Podniesiona zasłona". Autor celuje w takich sprawozdaniach, i wykonywa je tak, że Francuzi potem mogą się już obejść bez czytania oryginału. Systemat polega na tem, aby pewne części skrócić i podać z nich tylko, co potrzeba, aby tu treść przetłómaczonych scen głównych była łącznikiem. W ten sposób półtorasta stronnic, zastępują dużych kilka tomów. Ale to, co dla poważniejszych czytelników w romansach. G. Eliot stanowi może urok ich główny, pominięte zostało jako — nudne rozwlekłości.

Tom drugi studyów daje nam naprzód rozprawkę o humorystach amerykańskich, o niedostępnym dla nas Marku Twain, (najoryginalniejszym ale zbyt amerykańskim) o Artemusie Ward, Joshu Billings, Hansie Breitmann. Wszyscy oni europejskim czytelnikom mało są znajomi, i zdaje się, że aby w nich zasmakować, jak do kuchni amerykańskiej, nawyknąć do nich potrzeba. Romans małżeński słynnej pani Harriett Beecher Stowe (My Wife and I), której „Chatka Toma" miała tak olbrzymie powodzenie, maluje dobrze obyczaje nowego świata, tak niezmiernie od naszych różne; ale to jest może cała jego zaleta. Pod względem artystycznym, jak widać z treści, rzecz nie wytrzymuje krytyki. Autorka upomina się o — prawa kobiet, opiera postęp na zasadach chrześcijańskich, przemawia wymownie w imieniu sprawy swej, lecz... Audacia Dangereyes i Ida van Arsdel zarówno nam przypominają, że jesteśmy przed trybunałem i że p. Stowe mówi jako rzecznik a nie jako artysta...

Walt Whitman, amerykański poeta, przedstawiający „poezyą przyszłości" (!) — jeżeli nie zupełnie usprawiedliwia tytuł mu nadany, należy z Markiem Twain i humorystami do tego nowego świata, któremu my sił nie zaprzeczamy, ale o sposób użytkowania z nich — moglibyśmy się spierać.

Naprzemiany pełen uczucia i niemiłosierny a okrutny, poeta ten zdaje się niewierzyć w nic — prócz w siebie. Jakieś echo fatalizmu pogańskiego brzmi poza temi pieśniami.

Życie domowe w Niemczech, opowiedziane za bezimienną autorką „German home life" posłużyło autorowi do obrazka, w którym jest wiele prawdy drobnostkowej, ale brak głębszego poglądu na nie. Myśmy przed laty zdawali pobieżnie treść z tej ciekawej monografii, w której *gute Stube*, kuchnia i piwiarnia główne stanowią ogniska. Naostatek romanse włoskie Ouïdy (panny de la Ramée) amerykańskie zbiorowe szkice Twain'a i Warnera (The gilded age) i romans angielski, sportsmanów (White Melville), dopełniają całości tej, złożonej, jak widzimy, przeważnie z amerykańsko-angielskich studyów. Służyć one mogą jako skazówki, a nawet jako wzory do sprawozdań tego rodzaju, u nas w ogóle zanadto pobieżnie zbywanych. Nam, nielicznym korrespondentom, zarzucać nie godzi się, że często w kilkudziesięciu słowach musimy zbyć to, cobyśmy radzi daleko obszerniej rozebrać. Zadaniem naszem jest rozbudzenie zajęcia lub ostrzeżenie o tem, co nie zasługuje na nie.

W jednym z listów naszych (nie do „Bluszczu" pisanych), mówiliśmy niedawno o urywku podróży do Jeruzalem księcia Lubomirskiego. Ponieważ i nazwisko autora, i przedmiot książki mógłby ciekawość wzniecić, mamy sobie za obowiązek, dodając, że wyszła teraz cała ta „Jeruzalem", ostrzedz, iż to jest najniedorzeczniejsza i wstrętliwa elukubracya, zapewne obrachowana na to, aby skandaliczny rozgłos i pokup pozyskała. Sam autor nazywa się na tytule niedowiarkiem. Każdemu wolno być—kim się podoba; ale, będąc nieukiem, ubierać się w kompilowane łachmany, i plwać na wszystko co ludzie szanują, na to potrzeba być... tak cynicznie bezwstydnym jak autor tej bazgraniny.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

(Dalszy ciąg)

W tym gorzkim satyrycznym liryzmie Stańczyka wyraża się przeto myśl historyozoficzna „Hołdu pruskiego". Jedyny to w obrazie wyraz nie indywidualny, ale uogólniający wrażenie, jakie akt hołdu owego, bez względu na epokę i jej wielkomyślne złudzenia wywrzeć musi, patrząc nań z perspektywy dziejów. Inne postaci mniej albo więcej uwydatniają siłę uroku, jakim świetny pozór zewnętrzny aktu umysły ówczesne mógł opętać. Wprawdzie i w nich maluje się tu i owdzie reflexyjny pessymizm, niedowierzający trwałości i szczerości tych uczuć hołdowniczych, z któremi książe pruski klęka pokornie przed królem Zygmuntem. Takim jest przedewszystkiem kasztelan krakowski, Mikołaj Firlej, stojący po prawej od króla, postać imponująca powagą myślącą rysów, ubrana malowniczo w zieloną, rysiami podbitą delią; kasztelan podparł bujną brodę na ręce i z pewną troską, z pewną nieufnością towarzyszy scenie, której pobudek i obietnic na przyszłość dotąd nie dociekł. Niéma w nim wszakże niezgłębionego bólu i rozpaczliwego sarkazmu Stańczyka; jest tylko troska, jaką nabawia nas bezsilność wobec zagadki, od której może byt nasz zawisnąć. Jakby dla kontrastu tuż obok niego pomieścił artysta figurę kanclerza koronnego, Krzysztofa Szydłowieckiego, którego ruchliwe, jakąś pożądliwością płonące czarne oczy, chciwie łowią nasuwający się widok. W twarzy jego dostrzega się łatwo wyraz prywaty i sobkowstwa; Szydłowiecki był jednym z głównych protektorów idei hołdu pruskiego i niemało zeń korzyści dla siebie upatrywał. Pragnąłby też, aby coprędzej akt się dopełnił, aby dręcząca niepewność go opuściła i aby mógł z tryumfem zakosztować owocu swej polityki. Twarz to napoły machiawelska, napoły z typu Harpagona wzięta. Ponad nimi rysuje się piękny profil ojca kościoła i biskupa Tomickiego, twarz mądra, treściwa, energiczna, o konturach ostrych i śpiczastych, tudzież okazałe powagą i spokojem oblicze arcybiskupa Łaskiego. Tuż po za królem ku prawej, pomiędzy nim a grupą Firleja i Szydłowieckiego, stoi (podobno na taburecie) jasnowłose chłopię o cerze mlecznej, o pulchnej i pieszczonej twarzyczce, w purpurowej sukience, w czapeczce wykładanej drogiemi kamieniami: to Zygmunt August. Trzyma on w rękach złoty łańcuch, przeznaczony w darze dla nowego lennika pruskiego. Nachyla się ku niemu i o ramię opiera nauczyciel i przyszły ochmistrz królewicza, uczony Piotr Opaliński, w poważnej todze z czarnego aksamitu ze złotym łańcuchem na szyi. Z łagodnej twarzy jego poznać, że nie dyplomacya, ani zawód rycerski, ale cicha a twórcza missya naukowa i wychowawcza przypadła mu w udziale. Niezmiernie dużo tkliwości i przywiązania dla królewskiego chłopięcia wyraża się w tem oparciu ręki na ramieniu królewicza i w tem zbliżeniu głowy Opalińskiego do główki dziecka. Zdaje się, że myśli przypływają z jednej do drugiej.

Po tej stronie obrazu dwie jeszcze postaci górują charakterystycznym wyrazem i siłą namaszczenia. Pod pierwszym względem zwraca na siebie uwagę wielkorządca zamku krakowskiego, Kasztelan Osiecki, Jan Bonar. Nachylił on twarz okoloną bujnym snopem siwej, fantastycznie strzępionej i powłóczysto opadłej na szyję brody — ku ludowi stojącemu pod rusztowaniem i zdaje się coś tym rzeszom tłómaczyć, coś zarządzać. Olbrzymie czoło jego, poorane zmarszczkami czujnej troski gospodarza dworskiego, nawet budowa i wyraz oka malują przekonywająco charakter pracy, zawodu i obowiązku Bonara. Poznasz odrazu, że to nie tyle dygnitarz, albo mąż stanu, ile zabiegliwy do rzeczy najtrudniejszych: rycerskość, polityka, twórczość poetycka rzeźbią się w rysach twarzy daleko wymowniej, niż zmysł i talent skrzętności gospodarczej; ale Matejce powiódł się jego Bonar przepysznie. U samej krawędzi prawej obrazu pomieścił Matejko pięknego, młodego rycerza, Andrzeja Tęczyńskiego, który rozwinął sztandar Rzeczypospolitej z jej godłem na tle bladoróżowem i dumny z tego znaku, który mu w oczach jego lśni jakby jakaś męzka, chrobra extaza, w której nie aniołów, ale wszystkie ideały ojczystego bohaterstwa widzi w powietrzu. Polot i namaszczenie tego smagłego o kruczych włosach rycerza, uzupełniają harmonijnie i logicznie symfonią uczuć, któremi tchną owi rozmaici mężowie światła, rady i majestatu boskiego, otaczający z tej strony króla.

Po lewej większa jeszcze rozmaitość pierwiastków psychologicznych. Widzimy tu zimną, wyniosłą postać królowej Bony, która w takich dla kraju ważnych chwilach obojętną być tylko umiała, śliczną, zgrzybiałą, miłościwie przymglonem od starości okiem łowiącą szczegóły podniosłego aktu Annę Mazowiecką, dwie młode twarzyczki Jadwigi Jagiellonki i Zofii Mazowieckiej, poniżej grupy niewieściej charakterystyczną, pyszałkowatą bez godności, dyskretnie zmysłową twarz Biskupa Warmińskiego, Maurycego Ferbera i lisio-przebiegłą, obłudnie uśmiechniętą — przyszłego kanclerza pruskiego, Kreutzera. Obaj oni klęczą w czarnych sutannach, należąc do orszaku Albrechta. Powyżej wydobywa się prześliczny biust Konstantego księcia Ostrogskiego, jednego z największych magnatów w narodzie; twarz łysa, czoło sklepione wysoko, jak tum gotycki, oko dumne, wyraz pełen poczucia wielkiej możnowładnej pozycyi; wspaniała siwa broda układa się malowniczo na piersiach; prawica podkręca wąs z przedziwnie szlachetną fantazyą. Przy nim, w rycerskim szyszaku, młody Jan Amor Tarnowski z profilem o znanych dziedzicznych rysach.

Poniżej tych grup, na lewej krawędzi obrazu, stanął Piotr Kmita, marszałek wielki koronny, i zwrócił się do ludu, hałasującego w dole; ostrem spojrzeniem i ręką wzniesioną w górę, ucisza on tłumy i nastraja je do powagi. Postać to iście dworska; w rysach znać polor i wykwintność dworszczyzny, przy energii i sile, którą stosunki owe w pierwszych latach XVI wieku jeszcze u nas tchnęły. Inny dygnitarz Korony, podskarbi An-

drzej Kościelecki, stanął obok Kmity i ręką sięga do złotej misy, trzymanej przez dworzanina, z której za chwilę posypie według zwyczaju pieniądze ubogiemu pospólstwu. Pod względem artystycznej malowniczości najświetniejsza to postać w obrazie. Samo oblicze Kościeleckiego rzymskie, siłą i bystrością zmysłu napiętnowane, męzką gracyą tchnące, prześlicznym jest motywem portretowym; kostyum oliwkowy, bogato złotem i drogiemi kamieniami wysadzany, układa się w draperyą wielkiego wdzięku i effektu kolorystycznego; gest, nakazujący pokorę, dumny, niemal despotyczny, zdradza możnego pana, który w obrazie Matejki reprezentuje, nietylko bogactwo indywidualne, ale zasoby możnego kraju: wszakże jest on podskarbim koronnym. Dlatego zapewne artysta ubrał go najokazalej. Gdy zejdziemy w dół obrazu, poniżej rusztowania, spotka się oko nasze z całym jeszcze szeregiem charakterystycznym figur; jest ich niewiele na liczbę, ale każda stanowi skończony typ czasu i warstwy społecznej. Nieporównanym zwłaszcza w typowej prawdzie jest sługa magistratu, trzymający pęk rózg w rękach, aby niemi — według zwyczaju — oćwiczyć żaków po skończonej ceremonii, dla dosadniejszego włożenia im w głowę pamięci o ważnym akcie narodowym. Jest jakiś niespożyty wyraz jowialnej apatyi w tym szorstkim chłopie, przypominającym nocnych stróżów Shakespeare'a. Kilku żaków gapiących się pożądliwie, odwraca z niepokojem ostrożne spojrzenia w stronę ratuszowego ich skór garbarza; dalej szlachcic podnosi w górę ładną dziewczynkę, aby lepiej dojrzała króla, a nareszcie, na potężnym koniu, zajeżdża Hetman Zaporozki, Przecław Lanckoroński, skrzydlaty jak ptak stepowy, ogorzały jak syn puszczy, butny i wojenny w wejrzeniu, jak samo życie kozacze. Obok Kościeleckiego najpoetyczniejsza to figura w obrazie.

Najwybitniejsze tylko scharakteryzowaliśmy tu postaci; jest ich bezporównania więcej. Dotąd w obrazach krakowskiego mistrza największą siłę stanowiła potęga i prawda charakterystyki nawskróś heroicznej i w stylu, jaki przykazał duch ojczystej przeszłości, trzymanej. „Hołd pruski“ składa świadectwo rozrostowi i dojrzeniu drugiego pierwiastku twórczości Matejki, który niezawsze dotąd w takiej czystości, wdzięku i artystycznej mierze się wyrażał. Mówimy tu o kompozycyi: obraz ma tyle figur, ile liczą ich *najludniejsze* z dawniejszych płócien historycznych Matejki. Ale układ tych figur, które niezawsze dotąd łączyły się w grupy należycie wydobyte z całości planu, niezawsze dawał poprawną i spokojną linią artystyczną, tu poraz pierwszy zdobył tę nieposzlakowaną harmonią i logiczność, ten wdzięk malowniczy i prostotę effektu, jaka cechuje wielkich mistrzów kompozycye. W obrazie jest sytuacya wybornie z pojedynczych jej czynników złożona; żaden szczegół się nie gubi, ani nie spycha drugiego. Nastrój całości wiąże się w jednolitość ducha i formy; zajęcie powszechne treścią sytuacyi rozmaicie a zawsze wiernie i zgodnie z charakterem osoby licujące. Wykończenie szczegółów misterne; nigdzie przesady w manierowanej sile, nigdzie brutalność zewnętrznego effektu nie mąci podniosłego wrażenia prawdy życia, podniesionej w dziedzinę szerokiej, epicko-bohaterskiej poezyi. Koloryt ma więcej życia i blasku, niż zwykle dotąd u Matejki; siła i wydatność tonów indywidualnych zlewa się w estetyczną, wykwintną, poważnym spokojem tchnącą całość. Wszystkie przeto zalety obrazu są tego rodzaju i tej miary, że krytyka ma w jego obliczu prawo wypowiedzieć otwarcie i śmiało, iż nigdy dotąd genialny pędzel Matejki nie wytworzył dzieła takiej artystycznej wartości.

Salon Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w ostatnich czasach nie wystąpił z żadnem dziełem wyższego nastroju, oprócz „Ofelii nad grobem ojca“, p. *Pantaleona Szyndlera*, malarza szkoły francuzkiej, mało dotąd znanego wśród ziomków. Pendzel to szlachetny, wytworny i pełen duchowej gracyi. Ofelia, według przyjętej tradycyi, jasnowłosa, upadła na głaz pokrywający mogiłę Poloniusza i położyła rozgorączkowaną głowę na jego surowym chłodzie. W oczach łez pełno, w wejrzeniu rozdzierająca rozpacz. Postać ślicznie modelowana i z niezwykłym smakiem artystycznym ubrana w jasno niebieską atłasową suknię. Ponury smutek cmentarza podnosi jesienny pejzaż; zwiędłe, brudnożółte liście wysłały ogołoconą z trawy ziemię. Trochę róż tylko, które Ofelia z sobą przyniosła i na grób rzuciła, stanowi jaśniejszą smugę na szerokim obszarze smutku i melancholii. Boleść Ofelii jest szczera i silna, łzy mają urok przekonywający. P. Szyndler objawił wiele poetycznego poczucia i zdrowego liryzmu w swym pięknym obrazie, opartym o tradycye francuzkiej szkoły romantycznej. Wszystko tu w technice eleganckie i subtelne — ta poetyczna gracya pędzla ma swą kokieteryą osobną, która łączy się z delikatną tkliwością. Koloryt harmonijny, motywa pejzażu naturalne. W drugim obrazie Szyndlera: „Marzenie o kwiatach“, malowanym energiczniej, są piękne szczegóły w wiotkiej a miękkiej i ciepłej karnacyi ciała, z którą niezawsze licuje zbyt dosadne traktowanie kostyumu i tła. Motyw stanowi czarnowłosa dziewczynka z gałązką jaśminu w dłoni. P. *Jana Chełmińskiego* spotykamy dwa wykwintnie i czysto malowane obrazki rokokowe: „Spacer po śniegu“ i „Polowanie“. Obraz pośmiertny większych rozmiarów *Maxymillana Gierymskiego*: „Powrót z polowania“ celuje szlachetnością i spokojem tonu, nie należy wszakże do celniejszych utworów zgasłego artysty. P. *Wandalin Strzałecki* zdążył znowu „wzbogacić“ wystawę kilku płótnami, z których większy obraz: „Sobieski na weselu w Jaworowie“ i jeszcze większy: „Sobieski pod Wiedniem“ nie stwierdzają ani jednego kroku w postępie naprzód, i — jeżeli można — jeszcze jaskrawiej i brutalniej ukazują liczne niedołęztwa techniki tego malarza, obok braku ładu, prostoty i logiki w kompozycyi.

Smutne wrażenie, jakie sprawiają roboty p. Strzałeckiego, wyglądające z wszystkich kątów salonu Towarzystwa na istne utrapienie wzroku przychodniów, rozprasza obecność kilku prac młodych talentów, które świadczą o ich pomyślnym i konsekwentnym rozwoju. Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na dwie wyborne rodzajowe kompozycye p. *Stanisława Witkiewicza*: „Na jarmarku“ i „Jeźdźcy“. Pierwszy zwłaszcza obraz, przedstawiający targ małomiasteczkowy ze zwykłym kramem kupczących włościan, celuje zręczną kompozycyą, wiernością i humorem typów ludowych, czerstwym i naturalnym realizmem, siłą i dobitnością tonu. Malowanie szerokie, a jednak troskliwe i wyczerpujące w szczegółach; zamało tylko powietrza i perspektywy. W „Jeźdźcach“ sytuacya ma cechę prawdy, kompozycya figur dobra, prostota i szczerość w charakterystyce figur niepospolita, szkoda, że w pejzażu pokusił się artysta o excentryczne i kapryśne efekta. Aby blask zachodzącego słońca tak jaskrawo odbijał się w bagnisku, musi daleko więcej światła być na widnokręgu. Przyjemne sprawia wrażenie obrazek p. *Jana Owidzkiego*: „W jesieni“. Motyw naturalny, kompozycya ma swojski charakter i prostotę, oświetlenie dobrze uzasadnione, ton w ogóle zdrowy. P. *Józefa Ryszkiewicza*: „Opuszczony“ przedstawia chudą, wynędzniałą szkapę, zostawioną na szerokim stepie wśród szarugi, moknącą wytrwale i z rezygnacyą, że aż za serce chwyta. Kruki krążą ponad biednym sierotą i jeden usiadł mu już na grzbiecie, jakby zwiastun śmierci rychłej. Dokoła romantyczna atmosfera pustkowia i nieszczęścia; w dali rozwalony i samotnie sterczący komin wyrasta ponad ruiny jakiegoś domowstwa. Pędzel p. Ryszkiewicza ma tu właściwą expressyą w kolorycie i zmysł malowniczy w kompozycyi. P. *Apoloniusza Gorysz* w obrazku: „Na szosie“ przedstawiającym brykę żydowską, która wyładowawszy grzbiet swój czterema czy pięcioma otulonymi w kożuchy i burki podróżnymi, wlecze się pośród deszczu i błota zbatonożemi szkapiętami, zrobił znaczny postęp od ostatniej swej pracy, jaką na którejś z wystaw naszych widzieliśmy. Ma on poczucie typu i sytuacyi; technika także wyrabia się i nabiera charakteru.

Zpomiędzy krajobrazów zwróciły uwagę naszę dwa widoki P. *Wł. Małeckiego*: „Walgau w Bawaryi“ i „Walchensee przed burzą“, malowane z temperamentem i odczuciem natury; natomiast „Saska kępa“ tegoż artysty razi oświetleniem fałszywym. Ładnym w wyrazie i tonie jest Alexandra *Swieszewskiego*: „Wodociąg starożytny w Rzymie“. Większy od nich krajobraz swojski p. *Walerego Brochockiego*: „Chata leśnika na Podolu“ celuje wdziękiem kompozycyi, tudzież artystycznie obmyślanem oświetleniem, dostatkiem powietrza i trafnem natężeniem tonu w cieniach, które artysta zręcznie nałożył i ustopniował.

Do studyów z natury zaliczamy śliczny obrazek *Zygmunta Sidorowicza*: „W pracowni“, przedstawiający młodą i przedwcześnie zwiędłą kobietę, widocznie pracującą pędzlem, która snadź nie sprzedała obrazu i nie przyniosła pieniędzy do domu, gdyż z wymowną, chociaż dumnie milczącą boleścią rzuciła się bezwładnie na krzesło, jakby sił jej brakło do życia i torowania sobie przyszłości wśród głogów. Rzecz to malowana z duszą i wdziękiem ruchliwego, nawet wykwintnego, pędzla. *Wojciech Gerson* wystawił dwie figury allegoryczne większych rozmiarów: „Poranek“ i „Wieczór“. Do celniejszych portretów zaliczamy p. *Bolesława Łaszczyńskiego* duży portret damy w mleczno-atłasowej sukni, której twarz malowana jednak zatwardo i zajednolicie; tudzież p. *Tadeusza Rybkowskiego* pełen siły i charakteru portret ogorzałego mężczyzny o stanowczych, wyrazistych rysach.

(Dokończenie nastąpi)

WYPRAWA DO TONKINU

przez

Dubarda

przekład z francuzkiego.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 24).

IV. Wieczór w teatrze chińskim. — Polowanie na cmentarzysku. — Odwiedziny w Szolen. — Obiad u Dok-fu. — Bal w pałacu wielkorządzcy. — Odjazd.

W kilka dni później Józef, pamiętny danej nam obietnicy, zaprowadził nas do teatru.

Gdy się było obecnym na przedstawieniu w chińskim teatrze, trudno wistocie powiedzieć, co większą sprawia przyjemność: czy przeświadczenie, iż się widziało rzecz istotnie ciekawą, czy ta pewność, iż bezwątpienia nie pójdzie się jej oglądać raz drugi. Teatr chiński niewiele ma podobieństwa z teatrem europejskim; przedstawienia, jak w naszych budach jarmarcznych, rozpoczynają się od samego rana i trwają dzień cały, aż do późnej nocy; jest to mieszanina scen dramatycznych z farsami wielce dwuznacznego gustu, przeplatana błaznowaniem bardzo pospolitego rodzaju, a wszystko to odbywa się przy towarzyszeniu muzyki, o której trudno dać pojęcie. Tam-tam, gongi, tamburiny cymbały szczególniejszego gatunku, flety przerażająco piskliwe i pieśni nie śpiewane ale wyte przez nos: oto żywioły składające orkiestrę, a od niej nawet niemiecka głowa mogłaby pęknąć.

Teatr chiński w Saigonie, zbudowany jak wszystkie chińskie teatra, jest dość dobrze obsadzony. Posiada znaczną liczbę aktorów, a pomiędzy niemi znajdują się akrobaci zadziwiającej siły; patrząc jak skaczą a następnie padają wznak lub twarzą do ziemi na twarde deski sceny, pomimowoli czyni sobie widz pytanie: jakim sposobem biedacy ci nie zabijają się na miejscu? Chociaż pokazywane przez nich sztuki posiadają zupełnie właściwą sobie cechę oryginalności, jednakże, jako bardzo mało urozmaicone, szybko nużą Europejczyka. Urządzenie sali jest nader pierwotne. Z każdej strony obszernych równoległoboków ciągną się nieprzedzielane galerye; wprost sceny loże jedne nad drugiemi, wreszcie na dole obszerny parter zastawiony stołami, przy których krajowcy spożywają massę jedzenia, sprawiającego ponajwiększej części odrażające wrażenie, przyczem dla ochłody owijają sobie głowy od czasu do czasu szmatami maczanemi w ukropie. Oświetlenie odpowiada całości; żółte woskowe świece, lub ży-

wiczne pochodnie, kilka papierowych latarni — jednem słowem zaledwo dosyć wyraźnie widzieć można swego sąsiada.

Aktorami są tylko mężczyźni, którzy grają również role kobiece; w przedstawieniach ani cienia naturalności, sztywność konwencyonalna, głos przybrany, kostiumy wyobrażające jakieś fantastyczne osobistości. Sztuka sceniczna, jak wszystko zresztą w Chinach, pozostała zakonserwowaną w stanie pierwotnym, jaką była przed wiekami.

Józef przez cały wieczór usiłował obudzić w nas zajęcie, tłómacząc ważniejsze ustępy z dyalogów wypowiadanych przez aktorów, i wtajemniczając nas, oile tylko mógł, w intrygę przedstawianej sztuki. Ale, czy-to była nieudolność tłómacza, czy inna jaka przyczyna, dość, że przez cały czas słuchania naszego uprzejmego towarzysza doświadczaliśmy tylko niepokonanej jakiejś ociężałości i nudów trudnych do ukrycia; a jednak chwilami cała sala dawała wyraźne znaki zadowolenia. Wówczas znów Józef zatrzymywał się nagle, mówiąc: to nieprzyzwoite, tego przetłómaczyć nie mogę. Sądząc więc z tych przez całe audytoryum nader często okazywanych objawów zadowolenia, wnosić mogłem, iż sztuka musiała być ubarwiona nieskończoną liczbą brudnych dowcipów.

Upłynął już zapowiedziany tydzień wypoczynku; przygotowania nasze do dalszej drogi zostały ukończone i otrzymaliśmy zaproszenia na bal pożegnalny, wyprawiany na naszą cześć w pałacu wielkorządzcy. Chwila więc odjazdu niedaleką już była i należało się śpieszyć, mając zamiar odbyć polowanie na wielkiem cmentarzysku, dolinie grobów, jak je nazywają, i przebyć dzień jeden w Szolen, dokąd nas zaprosił jeden z mych dobrych znajomych, naczelnik wydziału spraw krajowych.

Nazajutrz, po wieczorze spędzonym w teatrze chińskim, opuszczałem okręt, przed wschodem słońca, uzbrojony od stóp do głów, w towarzystwie jednego z Nemrodów, należących do sztabu.

W chwili, gdyśmy wysiadali na ląd, zbliżył się do nas mały chłopak z ogromnym bambusowym koszem:

— *Ja, kapitan, dobry chłopiec nosić zwierzyna*, — rzekł zanamicka pofrancuzku.

— Ty dobry chłopiec?

— Tak, kapitanie.

— A więc chodź i zaprowadź nas tam, gdzie jest dużo krzyków.

Dziecko, ucieszone, pobiegło naprzód z taką pewnością siebie, jakgdyby zdawna było już przyzwyczajone do takich obowiązków psa gończego.

Chcieliśmy pójść do Szolen drogą strategiczną, polując zarazem na krzyki. Znaliśmy mniejwięcej kierunek, w jakim należało się udać, chcąc wyjść na dolinę grobów: jednakże, stanąwszy przy pałacu wielkorządzcy, zawahaliśmy się chwilę; chłopiec nasz zdawał się oczekiwać rozkazów; nie mogąc się też z nim rozmówić, zwróciliśmy się do żandarma, stojącego na straży przy pałacowej kracie.

Żandarm ten musiał to być albo filozof, albo wielki żartowniś.

— Zapytujecie, panowie, — odrzekł głosem uroczystym, gdzie dolina grobów? niestety, panowie, nietrudno ją znaleźć: tutaj jest ona wszędzie. Czyż Kochinchina nie jest grobowcem dla każdego Europejczyka, który na swe nieszczęście przybije do jej wybrzeży?

Po tak wesołem objaśnieniu udajemy się w dalszą drogę, podziękowawszy naturalnie miłemu żandarmowi; chłopiec nasz przypomniał sobie wreszcie, którędy iść należy, i wkrótce znaleźliśmy się w żądanej miejscowości.

Zaledwo wstąpiliśmy w bujną przydrożną roślinność, a już zpod stóp naszych zerwały się krzyki. Wszystkim myśliwym znany jest niepewny lot tych mieszkańców bagnisk i zasłużona opinia jako trudnych do trafienia ptaków. Po dwukrotnem bezowocnem usiłowaniu, trzeci mój strzał dosięgnął w zygzakowym locie uciekającą ptaszynę i spadło biedactwo główką na dół w kępę bujnych roślin. W dziesięć sekund dobiegłem do miejsca, którego ani na chwilę nie spuściłem z oczu, ale gdym stanął przy owej kępie, uderzyła mnie fatalna woń jakaś, niby trupia zgnilizna pobudzająca do mdłości; nie miałem odwagi postąpić kroku, a jednak żal mi było pozostawić pierwszą zdobycz. Wreszcie przemogła namiętność myśliwska: rozsunąłem odważnie trawę, ale, o zgrozo! krzyk mój leżał obok szczątków ludzkiej czaszki niezupełnie jeszcze opadłych z ciała. Na ten widok omało nie rzuciłem broni.

Zapytacie zapewne czytelnicy: jak to być może, aby tuż przy bramach Saigonu tak fatalnie zaniedbywano, a raczej nie uorganizowano służby porządkowej? Nic w tem dziwnego; pomimo przedsiębrania wszelkich możliwych ostrożności, mających na celu poprawę sanitarnego stanu miasta, niéma środka przeszkodzić biednym Anamitom grzebania zmarłych ukradkiem w nocy na ich sposób, to jest pokrycia zwłok zaledwo garstką ziemi: więc też odnajdują je z łatwością dzikie zwierzęta przebywające w tych okolicach i rozwłóczą za sobą wstrętne szczątki ohydnej uczty.

To wydarzenie odjęło mi zupełnie ochotę do dalszego polowania. Krążyliśmy wśród grobów, po większej części bardzo dawnych, ale czy to wskutek wyobraźni, czy też rzeczywiście zdawało mi się ciągle, że czułem ten odór który mnie tak wzburzył. Najmniej przez kwadrans dozwalałem bezkarnie przelatywać krzykom, nie mając odwagi znów strzelić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Ludi pro patria, wielki obraz francuzkiego malarza Puvis de Chavannes, który na tegorocznej wystawie paryzkiej otrzymał pierwszy medal złoty, jest według znawców wspaniale pięknem dziełem sztuki. Za tło służy mu krajobraz Pikardyi, rozległa płaszczyzna, której widnokrąg zamyka w głębi błękitnawa ściana lasu, co wszystko razem przedstawia spokojną, pogodną, nieco melancholiczną, wielkiemi rysami mistrza traktowaną naturę. Postaci ludzkie tworzą trzy, zupełnie od siebie oddzielne grupy, co jednak nie rozrywa jedności dzieła, bo łączy je ze sobą ogólna myśl kompozycyi. W pośrodku grupa główna pięknych, silnych, wpółnagich młodzieńców i mężów, ciska włócznie do celu, którym jest spróchniały już dąb; po prawej stronie na pierwszym planie stoi przed galijskiemi chatami gromada starców i dzieci, przyglądając się igrzyskom, kiedy tymczasem kobiety przygotowują wieczerzę; jedne czerpią wodę ze studni, drugie wsadzają chleb do pieca, te wreszcie, które ukończyły już pracę, rozmawiają między sobą. Po lewej stronie, także na planie pierwszym, porosłe trawą wzgórze obsiadły młode kobiety, jedna karmi niemowlę, druga bawi się z dziecinką swoją, a ze środkowej grupy mężczyzn oddzielił się mąż jeden, aby pocałować synaczka, który chwyta go rączkami za brodę, co, wedle krytyki, jest niezmiernie wdzięcznym szczegółem obrazu. Tak przez sposób malowania, jak przez tony kolorytu jest on podobnym do fresku i ztąd zdaje się być przeznaczonym na to, aby w ramach kamiennych lub marmurowych został umieszczonym w jakimś wielkim gmachu publicznym, gdzie dopiero czyniłby właściwe wrażenie. Malarz wywołał przed dzisiejszą publiczność francuzką, zmęczoną, przesyconą, zużytą widziadło złotego wieku Francyi i w scenie pełnej poezyi oddał piękno proste, spokojne: życie rozwijające się w warunkach natury pierwotnej, przecież przeniknięte duchem najszlachetniejszych uczuć ludzkich. Jestto sielanka niby, pełna siły i z wysokiem ideałem przed myślą człowieka. *Ludi pro patria*, to szkoła bohaterów hartujących się w ciszy i spokoju powszedniego żywota do zapasów wielkiej chwili, która może nadejść wkrótce a nie ma zastać ich nieprzygotowanymi. Może tam oto, z głębi owych lasów owianych mgłą błękitnawą, wychyli się jutro ruda głowa Germana, brata tego Hengi, który się w Nadgoplańskie puszcze zakradał i trzeba, aby czujny kogut galijski zapiał natychmiast na pobudkę, a gdy na ten odzew galijski skowronek wzbije się pod niebiosa, hufiec dzielnych mężów będzie już stał zbrojny i gotowy na stanowisku swojem. Obraz francuzki przywodzi koniecznie na myśl naszę *Starą Baśń*, która przedstawia również w zaraniu dziejów tę chwilę uroczystą i wyroczną, kiedy w cichą, słodką poezyą złotego wieku zaczyna się zakradać jak wąż do raju, wróg, czatujący podstępnie.

Złoty medal i łańcuch pamiątkowy Andrzeja Hofera, został złożony przez wdowę po jego najstarszym, a bezpotomnie zmarłym wnuku, w ratuszu w Innsbrucku. Ród tego bohatera Tyrolu wygasł w prostej linii męzkiej.

Przejście Wenus, mające nastąpić w d. 6 Grudnia bieżącego roku, zajmuje już obecnie astronomów, którzy czynią wielkie przygotowania w celu najdokładniejszych oile można spostrzeżeń. Metoda posługująca się fotografią, która pozwala utrwalić na szkle zjawisko niebieskie, aby następnie dokonać spokojnie wymierzeń, nie była przy przejściu poprzedniem w 1874 r., tak ogólnie użytą, jak to ma mieć miejsce obecnie. Wszystkie kraje wysyłają astronomiczne wyprawy w miejsca, kędy obserwacye mogą się dokonać w warunkach najlepszych. Niemcy wysyłają ich cztery: dwie do Stanów Północnych Ameryki, jedna nad cieśninę Magellęńską, jednę na ziemię rzeczypospolitej Argentyńskiej. W 1874 roku spodziewano się odległość ziemi od słońca tak dokładnie wymierzyć, aby otrzymany rachunek mógł jedynie o bardzo nieznaczną cyfrę zmijać się z prawdą, przecież rezultaty otrzymane nie odpowiedziały nadziejom. Według obliczeń astronomicznych następne przejście Wenus mieć będzie miejsce w czasach odległych w 2004 r.: należy zatem, aby spostrzeżenia z 1874, połączone ze spostrzeżeniami z 1882 r. wydały razem rezultaty, wedle których możnaby co do odległości ziemi od słońca postawić jakąś cyfrę mniejwięcej pewną, bo ta musi pozostać w nauce hypotezą nienaruszoną, aż do owego czasu. W tym celu zaraz po dokonaniu pojedynczych spostrzeżeń zostanie utworzone biuro międzynarodowe, gdzieby rzecz, przedyskutowana przez ogół uczonych, doprowadziła do wniosków zgodnych.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą i na dotychczasowych warunkach.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Droga do serca.**

TREŚĆ. Miłość wieków ubiegłych, studyum, przez Maryana Dubieckiego. — Róża, przez M. I. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez S. K. — Listy z zagranicy, (dokończenie), J. I. Kraszewskiego. — Przegląd artystyczny, (dalszy ciąg), przez Bronisława Zawadzkiego. — Wyprawa do Tonkinu, (dalszy ciąg). — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Іюня 1882 года.